№ 22. Warszawa, dnia (22 Maja) 3 Czerwca 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25
półrocznie . „ 2.50
rocznie . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu

Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**“ wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

„MARYSIEŃKA”

Portret historyczny.

Pewne imiona, zwłaszcza w odpowiedniem przekształceniu, posiadają szczególną własność: malują noszącego je człowieka z przedziwną wyrazistością cielesną i psychiczną. Stwierdza to wymownie jedno z najpospolitszych imion żeńskich: Marya. Gdy słyszymy różne waryanty tego imienia: Maryanna, Marylla, Marysia, Mania, Mańka i t. p., przesuwa się nam przed oczami cała galerya postaci niewieścich, typowo różniących się pomiędzy sobą.

W galeryi tej miejsce oddzielne należy się „Marysieńce.“

Zapytajmy stu polaków, znających dokładnie swą mowę i swe rodaczki, jak wyobrażają sobie Marysieńkę, a otrzymamy sto odpowiedzi prawie zupełnie jednakowych. Marysieńka nie może być ani wysoka, ani szczupła, nie może mieć czarnych włosów, ani bladej cery; nie może posiadać w twarzy i postawie nic klasycznego, nic, coby marmur lub bronz przypominało. Musi to być dziewoja lub niewiasta hoża lecz drobna, świeża jak kwiat, ale bardziej do pączka róźanego, niż do rozkwitłej róży podobna; mająca twarz typowo polską, to znaczy o liniach niepewnych, łagodnie zaokrąglonych.

Od Marysieńki nie spodziewajmy się ani sentymentalnych roztkliwiań, ani romantycznych wybuchów. Z jej ust prędzej wybiegnie krakowiak niż ballada, a już włoskiej „romanzy“ żadną siłą z niej nie dobędziemy. Istotka to wesoła, miła, nadzwyczaj szczera i niezmiernie prosta, a przytem silnie kochająca, choć bynajmniej nie kochliwa. Jest w niej czar słodki, który ją czyni dziwnie pociągającą — „przylepną,“ jak nasz lud mówi...

Marya Kazimiera de la Grange d'Arquien, przezwana przez męża „Marysieńką,“ ani jednego z powyższych przymiotów nie posiadała. Pomiędzy imieniem i osobą istniała tu sprzeczność i fałsz rażący.

Galerya Wilanowska przechowuje portrety Sobieskiego i jego żony, malowane przez Eleutera (Siemiganowskiego). Marysieńka na portrecie swym wygląda jak ładna, ale starzejąca się panna, która postanowiła „nie dawać za wygraną.“ Nieruchomy wyraz twarzy, zimny a wymizdrzony, o nadmiernie rozszerzonych oczach a ustach „zesznurowanych,“ mówi o stałem i obfitem posługiwaniu się kosmetykami. Nawet na portrecie znać róż i bielidło. Sztuczna i dziwaczna fryzura otacza dość wązki owal jej twarzy, coś porcelanowego i lalkowatego w sobie mającej.

Nic tam niema z „Marysieńki,“ którą chętnie wyobrażamy sobie myjącą się czystą wodą z krynicy i przystrajającą gładkie włosy kwiatami polnymi.

Ale ta dwulicowa istota miała inne jeszcze przezwiska.

Najpierw nazywała sama siebie i kazała się nazywać „Astreą.“ Było to imię sentymentalne, z jakiegoś współczesnego romansu wyrwane. Jak każde z takich imion, miało ono swój odpowiednik w imieniu męzkiem. Z Astreą tworzył parę Orondates lub Celadon. Za tego ostatniego przebierał się rad nie rad Sobieski.

Ale i Astreą nie była naprawdę i być nie umiała córka margrabiego d'Arquien. Sentymentalizm jej był tylko maską, kładzioną na twarz przy wyjściu na schadzkę, a po powrocie do domu zrzucaną, jako rzecz zbyteczna i niewygodna. Margrabianka miała umysł trzeźwy, zimny — „pozytywny,“ po dzisiejszemu się wyrażając. Tymczasem Celadon-Orondates brał rolę swą na seryo... Łatwo zgadnąć, ile ztąd dla niego wyniknąć musiało zawodów i rozczarowań.

Trzecie z przezwisk Maryi Kazimiery dane jej zostało nie przez miłość—nie przez modę. Było ono skierowane już wprost *ad personam.* Stworzył je gniew i nienawiść — ta ostatnia zaś, wedle jakiegoś przysłowia, posiada wzrok podwójny.

Gdy Marya Kazimiera, jako wdowa po pierwszym mężu Zamoyskim, chciała dostać się do zamku, gdzie leżały niepochowane jeszcze jego zwłoki, tłum poddanych zmarłego zatarasował jej drogę, nie puszczając do środka.

Blada z gniewu francuzica, stanąwszy w powozie, próbowała przemawiać do tłumu jako jego pani. Ale przyjęto ją krzykami urągliwymi. Gdy zaś nie ustępowała z miejsca, jakiś podlaski dowcipniś w sukmanie, (Podlasie zawsze dowcipnisiów rodziło) zawołał:

— Zawracaj, *Sobkowa!*

Wyraz „Sobkowa“ miał tu znaczenie podwójne. Najpierw stanowił on jakoby alluzyę do tajemnych ślubów, zawartych niedawno, a więc jeszcze przed pogrzebem pierwszego męża, z Sobieskim, którego lud, bez złej myśli naturalnie, przezywał Sobkiem. Następnie oznaczał ten wyraz żeńską odmianę samoluba, człowieka, który o siebie tylko dba i o sobie tylko myśli, a który w języku ludowym nazywa się również „sobek.“

Po dowcipie chłopskim, sądzone jej było jeszcze doświadczyć ostrza dowcipu ulicznego.

Już ku wieczorowi życia, gdy ze śmiercią Sobieskiego zagasło wielkie, wspaniałe słońce, od którego brała blask i ciepło (nie zdając sobie z tego sprawy, ani nie umiejąc cenić tego należycie), kręciła się bez wytchnienia po kraju i stolicy, wszystkim zawadzając, nikomu nie będąc miłą, ani pożądaną.

Na widok jej oszklonej kolebki, trzęsącej się od rana do wieczora po wyboistym bruku Warszawy, ulicznicy stawali, wykrzykując:

— Patrzcie ludzie... Jedzie stara *Intrygancka*!

Z czterech przezwisk, które wymieniłem, dwa pierwsze były sztucznie dorobione i istocie rzeczy nie odpowiadały. Czy były takiemi i dwa ostatnie?—o tem dowiemy się z dalszego ciągu tej opowieści.

Ale przedewszystkiem: kto była Marya Kazimiera i zkąd w Polsce się wzięła?

W chwili, gdy przyszła Marysieńka zjawia się na horyzoncie Warszawy, w Paryżu przemieszkuje niejaki pan Henryk de la Grange d'Arquien, kapitan gwardyi królewskiej, zubożały szlachetka, przechwalający się tytułem margrabiego. Jest to wielki zwolennik filozofii Epikura (w popularnej, mieszczańskiej przeróbce, tak podobnej do oryginału, jak myśl wieprza do wniosków filozofa), oraz życia na żart i życia bez jutra. Szarpany przez wierzycieli, a jednak brnący nieustannie z długów w długi, przepędza on dnie i noce na hulankach, mało troszcząc się o przyszłość rodziny, którą na nieszczęście ma bardzo liczną.

Pani d'Arquien, uszczęśliwiwszy męża całem stadkiem małych margrabiątek, znalazła się w kłopocie: co z niemi począć. Kłopot zwiększała okoliczność, że kapitan gwardyi o los dzieci wcale się nie troszczył. Pani d'Arquien, osoba praktyczna (był to jedyny jej przymiot) znalazła sposób wkręcenia się na dwór i przyczepienia do Maryi Ludwiki, wówczas tylko księżnej de Nevers. Dobry węch nie zawiódł praktycznej damy; księżna niedługo potem została królową.

Państwo d'Arquien mają gdzieś jakiś *chateau* (we Francyi nie należy przywiązywać do tego wyrazu zbyt wielkiego znaczenia). Z przyczyny licznych długów, które na tem gnieździe rodowem ciążą, zamek jest tylko nominalną własnością margrabiego; *de facto* posiadają go jego wierzyciele.

Nie mogąc zapewnić najstarszej córce posagu odpowiedniego jej stopniowi towarzyskiemu, rodzice przeznaczyli ją do klasztoru. Wstąpiła tam doróslszy, ale po to tylko, aby czemprędzej, bez wiedzy przeoryszy, mury klasztorne porzucić. Po ucieczce, panna ta szukała schronienia w miejscu tak bardzo wesołem, że przemocą i nie bez skandalu odbierać ją ztamtąd musiano.

Jeden z synów, znany później pod nazwiskiem hrabiego Maligny, okazał się nieodrodnem z temperamentu i zasad dzieckiem margrabiego. Zaledwie Marya Kazimiera wstąpiła na drogę do karyery, poślubiwszy Zamoyskiego, zjawił się on zaraz na dworze szwagra; sprawiał się zaś tam tak dobrze, że Zamoyski wypędził go wkrótce na cztery wiatry, grożąc, że jeśli powróci, to—jak psa zastrzelić go każe.

Najmłodszą odroślą takiej to rodziny była przyszła Marysieńka.

Zanim jeszcze prawo dziedziczności stało się teoryą naukową, można było w ogólnych zarysach przyszłość dziewczynki odgadnąć. Pewnem było przedewszystkiem, że córka hulaki i praktycznej „gęsi" (nie jam winien, że tego rodzaju kobiet nie nazywa świat „orlicami"), nie będzie świętą—co zresztą nie przeszkodzi jej być świętoszką. Jakoż była tą ostatnią, ale już po skończonej sześćdziesiątce.

Pannę d'Arquien przywiozła do Polski Marya Ludwika. Stało się to w roku 1645, kiedy dziewczynka miała zaledwie cztery lata. Nikt z pewnością nie przewidywał wówczas, że w orszaku zmierzającym przez Gdańsk do Warszawy, znajdują się dwie królowe polskie: jutrzejsza i pojutrzejsza.

Dlaczego państwo d'Arquien rozstali się z najmłodszą córeczką? i po co Marya Ludwika obciążyła swój „bagaż" podróżny tą niewygodną towarzyszką? Odpowiadano na na to pytanie w sposób różny — nie zawsze dla żony Władysława IV i dla jej panieńskiej przeszłości pochlebny...

Jeden z najpodejrzliwszych i najbezwzględniejszych historyków, Kazimierz Waliszewski prześlizguje się po tej wątpliwości i nic pozytywnego na jej miejscu nie stawia. „Przypuszczając nawet — mówi on — że przeszłość księżniczki Maryi pozostawiła jej tego rodzaju pamiątki, niepodobna uwierzyć, aby chciała ona czynić z nich wystawę w swym ślubnym orszaku. Cóż więc to było? Tajemnica! Gdy rozpatrujemy zblizka jakąkolwiek osobistość historyczną, przygotowani być musimy na wiele pytań bez odpowiedzi..." *)

Poza tem jednem dzieckiem i poza kilkoma starszemi niewiastami, orszak królowej składał się wyłącznie z młodych dziewcząt. Wszystkie one pochodziły z rodzin arystokratycznych; wszystkie bez wyjątku były ładne i — biedne. Na daleką drogę niektóre zostały „oporządzone" przez możne opiekunki; niektóremi zajęła się sama królowa. Każda z panienek miała piękne stroje i błyskotki, ale w licznych kieszonkach ich sukien, prócz koronkowych chusteczek, nic zgoła nie było...

Zastosowano się w tym względzie do wskazówek margrabiego de Bregy, który w listach z Warszawy doradzał zabrać ze sobą jak najwięcej „ładnych buziaków" i — nie troszczyć się zupełnie o posagi.

Wiktor Gomulicki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

*) K. Waliszewski: *Marysieńka, Marie de la Grange d'Arquien reine de Pologne, femme de Sobieski.* (Paryż, 1898).

Sprawozdania literackie.

Kazimierz Gliński: Z życia i fantazyi.—Wł. Jabłonowski: W zatoce śmierci. — Marya Łopuszańska: Zmierzch czy świt?—W obronie bogów.

Poeta, obdarzony niemałym polotem, umiejący dzwonić w struny, z których serdeczna, swojska, do serc wnikająca płynie pieśń, jako prozaik stoi K. Gliński na wiele niższym poziomie. Poprostu proza nie jest jego żywiołem. Nie może on tu rozpędzić się tak, jak po dźwięcznych obszarach mowy rymowanej, nie może rozwinąć skrzydeł, nie może wznieść się i rozgrzać duszy. W tej krainie mowy nierymowanej panuje widać chłód, który warzy kwiaty poetyckich nastrojów Glińskiego.

Mamy przed sobą tomik zatytułowany: „Z życia i fantazyi."

Zdaniem mojem niedostatecznie rozgraniczył autor te dwa światy. Jako prawdziwy poeta nie lubi Gliński rzeczywistości, stara się upiększyć ją przy pomocy fantazyi, ztąd jego obrazy życia, czy to w drobnych nowelach, czy dłuższych utworach powieściowych, nie mają na sobie piętna prawdy. Jest to objaw dosyć zrozumiały i trafiający się dosyć często u organizacyj par excelence poetyckich.

Dlaczego jednak, jakby mszcząc się za wykrzywienie swego obrazu, ta rzeczywistość, ta prawda życia wkrada się w fantazyjne utwory Glińskiego i pozbawia je właściwego im uroku?

Na to trudniej dać odpowiedź.

Jest to jednak niezaprzeczonym faktem. Fantastyczne utwory Glińskiego, pisane prozą—są prozaiczne.

Jestem przekonaną, że ten sam motyw, strojny w rytmy i rymy, rozdźwięczałby się pod ręką Glińskiego w pieśń wzruszającą i silną. W prozie nie daje wrażenia, a raczej daje wrażenie ujemne. Jest to coś niejednolitego, zlepionego ze szmatów błękitu i grud ziemskiego błota. Czytelnik nie może poddać się urokowi poezyi, bo wyrywa go z pod jego władzy co chwila dźwięk jakiś, tak pospolity, tak nawet trywialny, jakim tylko życie odezwać się umie, nie może też pogrążyć się w obserwacyi prawdy życiowej, bo rozhukany koń-fantazya rozbija i na kopytach roznosi tę biedną rzeczywistość.

Jednem słowem materyał mowy nierymowanej tak giętki, tak podatny w innych rękach, tyle swobody zostawiający pisarzowi, Glińskiemu nie jest posłuszny, paraliżuje wprost jego zdolności. Ale przejdźmy do pojedynczych rozdziałów książki.

„Noc upiorów," „Noc pasterzy," „Tchnienie nieskończoności," są to rzeczy, które zaliczone być winnny do działu *Z fantazyi*, i w których właśnie bardzo często przykrym dysonansem odzywają się zgrzyty rzeczywistości.

Natomiast nowela p. t. „Dla dziecka," mająca być obrazem *Z życia*, przedstawia rażące nieprawdopodobieństwa. Lichwiarz, właściciel lombardu, z miłości dla dziecka zbiera z krzywdy ludzkiej tysiące. Chłopca w piętnastym roku życia wysyła do Paryża na naukę. Syn lichwiarza wyrasta na człowieka o subtelnem poczuciu uczciwości; wraca nareszcie do kraju, w drodze poznaje pannę, która odrazu podbija jego serce. Syn nie zna prawie ojca. Zadziwia go trochę tajemniczość, jaką otacza się stary, zadziwia ogromny jego majątek, nie licujący z trybem życia, jakie prowadzi i t. d. Nie stara się jednak rozwiązać tych zagadek, lecz w dalszym ciągu kocha się się w swojej pannie, oświadcza rodzicom, zostaje przyjęty, mebluje dom i t. d. Na krótko przed ślubem, rodzice panny dowiadują się, kim jest ojciec przyszłego ich zięcia, i zrywają małżeństwo córki.

Czy można przypuścić, by ten w piętnastym roku wywieziony z kraju chłopiec nie wiedział już wówczas, jakiemu procederowi oddaje się jego ojciec, czy można wraz z autorem uwierzyć w istnienie dorosłego człowieka, którego fortuna ojca dziwi wprawdzie trochę, ale który w ciągu kilku miesięcy nie

stara się zupełnie dowiedzieć, jakim sposobem powstał znaczny majątek, gdzie ten stary codziennie rano wychodzi i dlaczego zabrania mu towarzyszyć sobie?

To nie obraz z rzeczywistości, to fantazyowanie, ale fantazyowanie bez wdzięku.

Autor zbiorku zatytułowanego „W zatoce śmierci“ chyli się wyraźnie ku t. zw. powieści psychologicznej.

W każdej z nowel jego spotykamy niezwykłe jakieś zjawisko psychologiczne analizowane z drobiazgową ścisłością i z widocznem upodobaniem. Psyche w swych objawach niezwykłych anormalnych interesuje go najżywiej.

W noweli p. t. „Spadek po przyjacielu“ przedstawił autor zjawisko zarazy psychicznej. W spadku po przyjacielu wziął bohater noweli tęsknotę za widmem nieznanem i nieuchwytnem. Trawiony tęsknotą za utraconą kobietą, melancholik konając przekazał ten tęskny szał przyjacielowi.

„Odtąd—mówi nieszczęsny spadkobierca — i moja istota dąży wciąż boleśnie i jak lawina w próżnię spada, wytęża się w kierunku sobie nieznanym, tęskni do czegoś, czego z rysów, z podobieństwa nawet nie zna... i męczy się, i wysila w tej niemocy odtworzenia rzeczy mglistych—przeczuwanych...

„Odtąd tęsknota moja ma raz cichy lot nietoperza, to kropelką rozpalonego ołowiu na mózg spada, to jak szarańcza niszczy cały plon ducha.“

Pożerany chorobą melancholik, szuka wciąż „kogoś koło siebie, komuby mógł w duszę tęsknotę swoją, jak cierń wrazić...“

Czy fakt takiego spadku zapisały roczniki psychologii patologicznej, i czy ów spadkobierca byłby także chorym nieuleczalnie? — nie wiem. Zdaje mi się jednak, że mogłaby to być jedynie niemoc chwilowa, wywołana potęgą suggestyi. W każdym razie jest to temat stojący już na granicy zadań belletrystyki.

Najwyżej pod względem artystycznym stoi nowela, od której książka cała wzięła tytuł „W zatoce śmierci.“

Z wielką siłą, prawdą i odczuciem przedstawił tu Jabłonowski męczarnie dusz młodych, chciwych życia, a skazanych na zastój, na martwy spokój, na ciszę śmiertelną. To rwanie się młodych sił, ten głód wrażeń, to daremne szamotanie się w sieciach życia, tę niemożność zużytkowania nagromadzonej energii, jednem słowem tę klątwę tylu współczesnych i bliskich nam organizacyi psychicznych, odmalował autor tak, jak tylko własne bóle, własne głody malować można.

Leżą przedemną dwie książki Maryi Łopuszańskiej: powieść współczesna „Zmierzch czy świt“ i opowiadanie na tle dawnych legend p. t. „Obrońcy bogów.“

Są organizacye autorskie niewrażliwe zupełnie na tętno życia współczesnego. Należy do nich autorka wspomnianych wyżej książek. Wprawdzie na twierdzenie, będące jak się zdaje przewodnią myślą powieści: że pokolenie współczesne grzeszy nietyle brakiem miłości, co brakiem wiary, wiary w ukochane ideały, we własne siły, w szczęście i t. d.— od biedy zgodzićby się można. Ale charakterystyka przedstawicieli tego pokolenia jest z gruntu fałszywa i pozbawiona konsekwencyi, a nawet prawdy historycznej.

Czytając powieść Łopuszańskiej mamy często kroć wrażenie, że autorka ludzi swoich zna tylko ze słyszenia. Paweł Leński, mający właśnie uosabiać młodzieńca postępowego (używam tego wyrażenia w braku innego lepiej malującego przedmiot), to mięszanina zupełnie niezrozumiała. Autorka zlała na niego wszystkie błogosławieństwa, to jest obdarzyła go rysami charakterystycznymi dla ludzi postępowych kilku idących po sobie okresów dziejowych. Ma on bezwzględne przeczenie i cynizm Bazarowów, sceptycyzm Płoszowskich, energię czynu wreszcie i współczucie dla niedoli bliźnich z poprzednimi rysami zostające w zupełnej dysharmonii.

Inaczej zupełnie mają się rzeczy, gdy autorka zstąpi w zamierzchłe krainy przeszłości. Owiewa ją wówczas ukochane powietrze, woń wspomnień słodsza i świeższa od woni kwiatów leśnych, i zamienia w poetkę.

„Obrońcy bogów“ powieść dla młodzieży, to poemacik, od którego na młodego czytelnika idzie woń lasów piastowych, prastarych puszcz. Po tych puszczach słychać łkania starych opuszczonych przez lud bogów, słychać śpiewy boginek i złych duchów śmiechy. Cały prastary świat fantazyi ludowej wstaje do życia, spowity w mgły, które gorące słońce wschodzącego chrystyanizmu rozwiewa. Aż żal tego starego świata!

Jednym z najpiękniejszych ustępów tej powieści jest opis śmierci starego kapłana Pośwista.

Przyszedł po niego bóg jego, orkan straszliwy. Stary wyszedł i z rozkrzyżowanemi ramiony szedł na spotkanie boga swego. Upajało go szalone tchnienie burzy, szedł tak, szedł... bóg Poświst zabrał ostatniego kapłana swego.

Pełnym siły dramatycznej jest obraz zgonu ostatnich czcicieli starych bogów. Posąg bóstwa rąbią wrogie dłonie, a oni... jeden po drugim zbliżają się ku brzegowi urwiska, i znikają w przepaściach jaru.

Godną uwagi jest miara, jaką potrafiła zachować autorka, przeciwstawiając sobie dwa światy pogański i chrześcijański.

Z miłością złożyła do grobu przeszłość starą—z miłością powitała słońce wschodzącej kultury i ideałów etycznych wyższego rzędu.

Język piękny, czysty, poetyczny, zajmująca fabuła, do samego końca pociągają uwagę czytelnika.

H. C.

Dr. G. Wallon
o dzisiejszych metodach leczenia.

(Dokończenie).

Jednemu z takich, sprawa ta nie dawała spokoju, był dr. Corning; doszedł on do przekonania, że radość, szczęście i wynikająca z nich wesołość potrzebną jest życiu równie jak światło dla intelligencyi, a chleb dla organizmu fizycznego, że przeto w zakres zalecanych przez naukę środków leczniczych wchodzić winny te czynniki, które nietylko mogą podtrzymywać zdrowie fizyczne, ale nadto przez wpływy natury czysto psychicznej przyprowadzać do równowagi organizmy zachwiane. To, co przeżywamy na jawie i to, czego doświadczamy podczas snu, to są oddziaływania na nastrój nieledwie że takie same. Ztąd powziął dr. Corning myśl leczenia chorych niektórych za pomocą snów rozkosznych, ku czemu zastosował własny swój pomysł, mogący sprowadzać sny podobne. Rozumował on w ten sposób, że jeśli zmory senne, niepokoje i trwogi podczas snu doświadczane, wyczerpują organizm, to dlaczegoby to wszystko co uspokaja, zadawalnia, zachwyca, czy porywa myśl człowieka, nie miało po przebudzeniu jeszcze pozostawiać po sobie dodatniego wpływu. Szczególny jest w istocie sposób, w jaki wykonał myśl swoją dr. Corning.

Głowę całą pacyenta, leżącego na wznak otacza powłoka z tkaniny lekkiej z wyjątkiem twarzy. Po obu bokach tego czepca, na wysokości uszu są, zbliżone kształtem do spodków, dwa metalowe wypukłe przyrządy, dozwalające komunikacyi z atmosferą otaczającą. Przez te otwory metaliczne zbliżają się do otworów usznych rogowe zakończenia rurek idących od przyciszonego Edisonowskiego fonografu. Na tem ogranicza się dostarczanie pacyentowi przyjaznych wrażeń słuchowych.

Co do wzroku, który również ma być zaspakajany w sposób dla cierpiącego sympatyczny, to kanapę całą, na której on spoczywa, pokrywa rodzaj namiotu szczelnie zamkniętego, niedopuszczającego do wewnątrz światła. Na zewnątrz namiotu ustawiony jest aparat stereoptyczny, w ciemni wewnętrznej niema nic prócz białego ekranu, na który przyrząd rzuca obrazy niknące. Kształty tych obrazów zachwycają oko, przemawiają do wyobraźni, dają spokój i zadowolenie.

To skojarzenie wrażeń wzrokowych ze słuchowemi i współczesne ich oddziaływanie, uspokaja podrażnienia nerwowe, zmysły zaczynają odzyskiwać równowagę, a błoga senność ogarnia chorego—sanność, która jak doświadczenie stwierdziło, rozwija się na tle ostatnio odebranych wrażeń.

Dr. Corning utrzymuje, że takie traktowanie chorych nerwowych dało mu rezultaty nader zachęcające. Uspokojenie nerwów szło równomiernie z takiemi oznakami fizycznego

stanu, jak poprawa apetytu, stopniowe zwiększanie się wagi ciała i t. p., i t. p.

Między cierpieniami udręczającemi ludzkość, były zawsze takie, przeciw którym nauka czuła się zupełnie prawie bezbronną. Są to cierpienia mózgu i organów trawienia. Ale dzisiaj i ta bezbronność nie jest już tak bezwzględną, jak była niegdyś. Dwa fakta, które idąc za sprawozdaniem dr. Wallon, powtórzymy poniżej, upoważniają chyba do zaliczenia ich w poczet rzeczywistych tryumfów nauki lekarskiej wogóle, a w szczególności chirurgii.

Głośną bardzo w palestrze Chicagoskiej osobistością był adwokat Sir Frank Howard Collier. Człowiek ten, wychodząc z pewnego zgromadzenia politycznego, uległ zamachowi nasadzonych nań płatnych morderców. Fakt miał miejsce w roku 1889. Śmiertelnej, w ścisłem znaczeniu, rany nie odebrał żadnej, ale obrażeń mniejszych i większych było dużo. Byłoby zajście samo przez się nie zwróciło na siebie takiej uwagi ogólnej, gdyby znakomity adwokat nie był się od tej pamiętnej nocy zmienił zupełnie dla tych wszystkich, którzy go znali bliżej — zmienił w trybie życia, w zwyczajach i upodobaniach swoich. Dawniej systematyczny w wydatkach, oszczędny i przewidujący, zaczął teraz literalnie wyrzucać pieniądze przez okno, przyjmować udział w najwątpliwszych spekulacyach, a nawet rozpraszać zgromadzony majątek po zielonych stolikach. Ani blizcy, ani rodzina, nie łudzili się co do stanu rzeczy, zarówno jak co do przyczyn, które go wywołały.

Wyraźnie bogata umysłowość człowieka uległa bezpowrotnie w tej katastrofie, na skutek przerażenia, może wysiłku jakiegoś fizycznego w walce z napastnikami. Adwokat Collier zamkniętym został w domu zdrowia, ale niebawem rodzina wydobyła go ztamtąd, usprawiedliwiając zbyteczność osadzenia w zakładzie leczniczym człowieka, który popadł wprawdzie w chorobę nieuleczalną, ale szkodliwym dla otaczających być nie mógł wcale. Dziesięć lat przeżył tak, jako skazany nieodwołalnie przez wszystkich alienistów nowoyorskich, gdy w roku bieżącym dr. Spitzka z Illinois wezwany doń został dla porady w jakiejś przemijającej słabości. Był to dzień względnej chorego przytomności, i pod jej wpływem udało się temu lekarzowi wydobyć zeń wyznanie, dotyczące znacznej dolegliwości w głowie o dwa mniej więcej cale po nad uchem.

Dr. Spitzka odrazu uwierzył, że musi to być siedlisko choroby, i że jej źródłem było oczywiście obrażenie tej części mózgu. Doradzał tedy usilnie trepanacyę. Otwór okrągły wycięty w czaszce ukazał odłam kości tej czaszki, który utkwił wywołując ranę i skrzep krwi przed dziesięciu laty. Stosowne traktowanie cierpienia zdecydowało o jego usunięciu. Sam adwokat Collier, opisując przebieg rekonwalescencyi swojej w jednej z gazet Chicagoskich, wyznaje, że spełniło się ono w ciągu dni dziesięciu. Po wyjściu z lecznicy, odbył on, jak powiada, przechadzkę, która go wzmocniła, i po raz pierwszy od lat tylu uczuł potrzebę widzenia się z rodziną i przyjaciołmi. W tydzień potem bronił przed sądami z dawnem powodzeniem sprawy trudnej i powikłanej. Doktór Spitzka jest przekonanym, że znaczny procent cierpień umysłowych dałby się odnieść do mechanicznego obrażenia mózgu, jako przyczyny, i że w takich wypadkach wszystkich przedsięwzięta operacya podobna do tej, o której wzmiankowaliśmy powyżej, wystarczającą byłaby zupełnie do przywrócenia cierpiącemu całej dzielności umysłu, jaką rozporządzał przed wypadkiem.

Mówiliśmy o operowaniu czaszki w chorobie umysłowej i o zupełnym powrocie do zdrowia człowieka, uważanego przez lat dziesięć za zgubionego nieodwołalnie, teraz powiemy o człowieku osobliwym, który pozbawiony jest całkowicie żołądka, a mimo to żyje jak my wszyscy i ma się jak można najlepiej. Jest to Włoch, zamieszkujący w Kalifornii, nazwiskiem Giovani Patriti, który swoje niespodziane ocalenie zawdzięcza dr. Macdonaldowi z San-Francisco. W Lipcu 1898 roku skazany był Patriti przez lekarzy na śmierć nieuchronną, jako cierpiący na raka w żołądku. Z zawodu służący w jednej z ferm poblizkich, po naszemu mówiąc, parobek, pracował jak wszyscy ludzie jego stanu, a nawet doświadczał niedostatku. Choroba trwała już czas jakiś, a nie mogąc znieść jej cierpień, usłuchał rady ludzkiej i udał się do San-Francisco do lekarza specyalisty. Dr. Macdonald nie tail przed nim, że operacya jest ryzykiem, że w dziewięciu na dziesięć wypadkach chory umiera, a jeśli ocaleje przypadkiem, to w każdym razie na czas bardzo niedługi. Patriti nie widząc przed sobą wyjścia, zgodził się na to ryzyko, które przedstawiało mu owe $^1/_{10}$ szansy i to warunkowo! Cóż robić! Tacy my to już jesteśmy przywiązani do życia wszyscy—szczęśliwi i pogrążeni w niedoli — możni i nędzarze—starcy i młodzieńcy zarówno.

Operacya trwała całe półtory godziny. Po rozejrzeniu się w położeniu rzeczy, zdecydował dr. Macdonald, że chcąc zrobić to, co przedstawia najwięcej jeszcze rękojmi powodzenia, należy wyciąć wraz z tym rakiem i całe jego siedlisko, to znaczy żołądek—cały żołądek.

Oszczędzimy tu czytelnikowi terminów naukowych, przytoczonych przez sprawozdawcę, nie wytłómaczymy nawet, idąc za jego objaśnieniami, jakie części wnętrzności zeszyto ze sobą, aby zastąpić żołądek pacyentowi, poprzestaniemy na powadze pisma i charakterze naukowym referatu, nie pozwalającym przypuszczać, aby czytelnikowi podaną była tym razem mistyfikacya, jak się to dosyć często w codziennem piśmiennictwie peryodycznem przytrafiać zwykło. Operacya należała do tak trudnych i hazardownych, że zdaniem dr. Wallon, gdyby Patriti miał był najsłabsze chociażby pojęcie o przeznaczeniu narażonych przy tej robocie nader subtelnych nerwów, stokroć wolałby był zostawić wszystko naturalnemu biegowi rzeczy. W osiem dni po dokonaniu tego dzieła niebywałego, chory zażądał mięsa, którego, rozumie się, odmówiono mu, ale za to w pierwszym dniu swego wypisania się ze szpitala, posiadając pewne drobne oszczędności, uraczył się odrazu w restauracyi ostrygami i kurczęciem. Nadto, ponieważ potrzebował zarobku, jako człowiek żyjący z pracy dziennej, wynajął się do przenoszenia ciężarów. Z takim właśnie kufrem na plecach, którego dźwignięcie mogło sprowadzić w każdej chwili śmierć natychmiastową, spotkał przypadkiem dr. Wallon biednego Włocha, i mimo wszelkich z jego strony protestacyj, przemocą prawie zabrał go z powrotem do szpitala, gdzie pod należytym dozorem przepędził jeszcze blizko miesiąc czasu. Teraz uznano, że jest wyleczonym zupełnie, i pozwolono mu żywić się wedle woli, możności i upodobania. Przychodzą o nim wieści ciągłe, a wieści te głoszą, że powrócił do tej fermy, gdzie służył przed chorobą, że tam orze znowu, kosi, powozi końmi, dostawiając na targi produkty rolne, że jest w wybornem zdrowiu i na spojrzenie daje rękojmię dożycia do stu lat przynajmniej. Zapytuje tylko, czy w razie gdyby się ożenił i miał potomstwo, dzieci jego rodziłyby się z żołądkami, a na odpowiedź twierdzącą, okazuje niezadowolenie wyraźne, bo już to, co się tyczy żołądka, to wogóle posiadanie jego uważa za rzecz nietylko kłopotliwą, ale i bezużyteczną zupełnie.

K.

Z NIEMIEC.

Skandaliczna nietrwałość związku małżeńskiego we Francyi, skłoniła i Niemców do bliższego wejrzenia u siebie w te sprawy, i wykazania się przed światem ze swoją statystyką rozwodową. Jest ona bardzo obszernie komentowaną w prasie peryodycznej. Niemcy dziwiąc się nieproporcyonalnemu wzrostowi rozwodów we Francyi, nie są skłonni bynajmniej przypisywać tego niepożądanego zwrotu samym tylko następstwom prawa, które do nich szeroką otwarło drogę. Powiadają oni, że część zaledwie odpowiedzialności spadać tutaj winna na prawo pisane, a jako resztę przyczyn i to przeważną w tym obrachunku, przyjąć wypada ich zdaniem względy natury moralnej i ekonomicznej, upowszechnione pojęcia o społecznym ustroju, literaturę narodu, szkołę jego nawet, a w końcu tę poniewierkę wogóle idei rodziny, w jaką ona popadła pod koniec stulecia. Obyczaje ludów, ich stosunki towarzyskie, ich pożądania i dążenia, zmieniły się w krótkim czasie do niepoznania, a gdy dodamy do tego nomadyczny sposób bytowania całych grup społecznych dostatnich z jednej strony, a nędze innych warstw w głównych ogniskach ruchu wielkomiejskiego z drugiej, stanie się nam odrazu zrozumiałem, dlaczego związek dwojga ludzi uświęcony, obwarowany powagą prawa i obyczajów, a przeto nierozerwalny w zasadzie — dlaczego związek ten ucierpiał tak bardzo.

Człowiek dzisiejszy możny, przesycony życiem, albo unika stanowczo związku małżeńskiego, albo jeśli go przyjmuje z jakichkolwiek względów, żąda w nim jak można największej, a choćby i nieograniczonej, niezależności. Nędzarz, człowiek żyjący z dnia

na dzień, tumaniony nieziszczalnemi pragnieniami, czujący się ciągle ofiarą jakiejś tymczasowości, nie może pogodzić się z myślą o miernym bycie, a tem mniej o dzieleniu tego bytu z gromadką, któraby jego swobodę chciała obrócić na swój pożytek, a jego kawałek chleba rozłamywała na kilka części. Jedni i drudzy słowem i czynem manifestują tyle pogardy dla małżeństwa i rodziny w dawnem rozumieniu, że żądać, aby z tej instytucyi, wzniesionej przez chrześcijaństwo, pozostało na dni ostatnie wieku naszego coś więcej prócz gruzów, jest to żądać niepodobieństwa prostego.

Coś tam oczywiście na środkowych szczeblach społecznej drabiny pozostać musiało z dawnych jeśli nie wierzeń, to nałogów, pozostał też jakiś cień dawnej czci, jaką otaczano, uświęcony powagą religii i moralnych względów związek dwojga ludzi zakładających rodzinę, ale te szczeble, o których mówimy, to są niestety szczeble obsiadłe przez sfery mieszczańskie, które zkąd inąd zbyt wiele mają oportunizmu chwili, i nadmierną nadewszystko ciasnotę pojęć, iżby się na inicyatywę i przodownictwo w sprawie jakiejś reformy obyczajów zdobyć mogły. Tak więc najwyżej i najniżej smutno bardzo, a to, co w środku nie nadaje się chyba na nasienie dla przyszłych formacyi społecznych.

W każdym razie jeśli o Niemczech mówić mamy, rzeczy przedstawiają się mniej więcej tak:

Ucierpiał oczywiście związek małżeński najmocniej w miastach wielkich, a tu jeszcze wprowadzić winniśmy ważne rozróżnienia. Miasto stołeczne takie jak Berlin, daje na 100,000 mieszkańców 171 rozwodów rocznie, podczas gdy ogniska wielkiego ruchu handlowo-przemysłowego, do których zaliczają się tak zwane miasta Hanzeatyckie, podnoszą tę cyfrę aż do 254. Dowodzi to bądź co bądź, że nawet siedliska zbytkujących warstw i wolnomyślnej intelligencyi nie dają zepsuciu obyczajów takiego olbrzymiego kontyngensu, jak zbiorowiska zaludnione oportunistycznem i zbogaconem handlarstwem u wierzchu, a proletaryatem robotniczym, wynaturzonym i bezdomnym u spodu.

Strach jest w takim składzie rzeczy pomyśleć, że nic się dotąd nie planuje w kierunku powstrzymania napływu ludności rolnej do wielkich miast—że nikt nie projektuje ograniczania na przyszłość wielkich metropolij, a owszem nawykły jakoś pokolenia nasze patrzeć na roczny przybytek tych setek tysięcy, jako na zjawisko jakieś pożądane—jako na objaw potęgi i żywotności w narodzie. Nic się nie planuje i nie obmyśla nawet powiedzieliśmy, a jakby to daleko jeszcze było od przejęcia się tą myślą sfer właściwych do wykonania samego, do zwrotu w kierunku pożądanym. Bo że pożądanem jest zbliżenie powrotne człowieka dzisiejszego z przyrodą, że błogosławieństwem dla jego uzdrowienia fizycznego i moralnego stačby się mogło wyrwanie go zawrotnej gorączce życia, o tem w zasadzie przynajmniej nikt z moralistów teoretyków nie powątpiewa.

Błogosławioną, pożądaną, zbawczą byłaby metamorfoza podobna, ale jakimi środkami dokonaćby jej można?

Zanadto mglisto i nieuchwytnie wyrażają się o tem do tej pory Ruskiny wszystkie, iżby ekonomiści i prawodawcy jedną ztąd cegiełkę do budowy przyszłych gmachów społecznych wziąść mogli. Dotąd idea pozostaje w obłokach.

Przyznają Niemcy, że względy wyznaniowe odgrywają w sprawie rozchodzenia się małżeństw rolę nader ważną. Tak naprzykład katolicka Bawarya ma na 100,000 m. tylko 27 rozwodów, podczas gdy w Saksonii dochodzi ta cyfra do 109. Godnem jest również uwagi dlaczego minimalną cyfrę rozwodów spotykamy w Meklemburgu. Nie znajdujemy odpowiednich po temu objaśnień, a ciekawem byłoby jednak poznanie całości ustaw i instytucyi tej prowincyi, która szkodliwemu ruchowi umysłów w kierunku danym tak skutecznie obronić się zdołała.

Co do praw i ich pośredniego tylko na trwałość lub nietrwałość małżeńskiego związku oddziaływania, powiadają Niemcy, że ich wielka zjednoczona Ojczyzna niemiecka nie dostarcza im należytego materyału do rozpoznania tej kwestyi. Każde z pojedynczych państewek wchodzących w skład rzeszy, ma swoje prawodawstwo odrębne, ale za to we Francyi, gdzie prawo jedno obowiązuje na całym obszarze państwa, rzecz daje się osądzić daleko lepiej. Otóż nic nie znaczy wpływ kodeksu cywilnego, tam gdzie wierzenia uświęcone przez wieki stoją na straży moralności. Wymownie dowodzą tej niezbitej prawdy Bretania i Wandea we Francyi. Przy duchu religijnym, jaki wśród ludności przechował się dotąd, prawo rozwodowe Naqueta nie wprowadziło w rodzinę żadnej dezorganizacyi. Małżeństwo było i jest nierozerwalnem dla głęboko religijnych mass w tych prowincyach, znanych ze swojej zachowawczości. W konkluzyach są niemcy co do siebie dosyć optymistyczni. Porównania z Francyą, wychodzące całkowicie na ich korzyść, pochlebiają im, i dlatego chętnie się temi zestawieniami posługują.

Mówią między innemi, że w Grudniu roku minionego na jednem tylko posiedzeniu trybunału cywilnego w Paryżu, rozpoznano w przeciągu 5 godzin ogółem 290 spraw rozwodowych, w których bardzo nieznaczący tylko procent żądających rozłączenia, nie otrzymał wyroku przychylnego. 290 spraw w ciągu 300 minut, to coś w rodzaju 1 minuty czasu przypadającej na rozpatrzenie motywów i na wyrok.

Zapewne, że to jest błyskawiczne.

K.

Z TOBĄ.

Dzień dobry... Wstało już jasne słońce,
Już śle całunki z promiennych warg
I złoci świata zbrukany targ,
Lejąc światłości i ciepła gońce.

Chodź—gdzie świeżością oddycha park,
Gdzie krople rosy jaśnieją drżące,
Gdzie lśnią szmaragdy na wonnej łące,
Zdala od próżnych żalów i skarg...

Wracajmy—czas już... Życie nas woła!
Wracajmy... Spojrzyj jeszcze dokoła,
Jaka tu światłość i jaka woń!

Przyjdź do mnie. Czekam z księgą rozwartą,
By lecieć razem—karta za kartą
W to słońce! Przyjdziesz?.. Uściśnij dłoń...

*

Dobranoc... Oto z ostatnią kartą
Trudowi słońce już kładzie kres,
Już zlało złoto ze wszystkich kies
I rzuca ziemię z światła odartą.

Idź. Chwilę jeszcze... Posłuchać warto
Tych szmerów, kiedy rozkwita bez,
Zapomnieć można bólów i łez,
Porzucić walkę z światem zażartą...

Idź. Jutro pracę rozpoczniem znów.
Czekaj!.. Ach, podaj mi usta swoje!..
Drżę cały—odejdź!—czegoś się boję...

Idź, dziecię! Dobrych ci życzę snów,
Złego niech dusza twa nie pamięta!
Idź... przyszłaś święta, odchodzisz święta...

H. St. Pytliński.

Aleksander Dumas.

Most Dyabelski w Szwajcaryi.

Podanie.

O małe ćwierć mili za Andermatt znalazłem ów bajeczny most, o którym słyszałem od tak dawna — nie most, a właściwie mówiąc dwa mosty, bo jest tutaj stary i nowy. Ostatni zabrał pierwszemu i nazwisko i przechodniów prawie wszystkich, nie zdołał mu tylko odebrać uroku legendowego, którym jest otoczony.

Oba mosty łączą ze sobą brzegi rzeki Reuss — oba okraczają śmiało ten wartki potok, wznosząc się ponad nim na jednej tylko arkadzie, i oprócz tego podania, które dotyczy starego, różnią się nadto wymiarami i stopniem wyniesienia nad poziom. Dzisiejszy ma 60 stóp wysokości i 25 szerokości; ten stary, zaniedbany, a pięciowiekowej dawności ma tylko 45 stóp na wysokość, a 22 na szerokość, co samo przez się dowodzi, że dzisiejszy budował jakiś dyplomowany inżynier, który liczył i obrachowywał—tamten zaś stawiał szatan w pośpiechu przez jedną tylko noc kwietniową, a i tak można mu przyznać, że postawił wcale nieźle, zwłaszcza jak na samouka. Oto jak się stało to wszystko.

Trzeba wam wiedzieć czytelnicy, że ta rzeczka Reuss płynie sobie w łożysku wyżłobionem przez przyrodę, na jakie sześćdziesiąt stóp w głębi między dwiema stromemi zupełnie skałami, że tak jak dziś, tak i niegdyś przecinała ona dwie doliny: Carnera i Goschenen, czyli mówiąc inaczej, oddzielała od siebie kantony: Gryzonów i Uri. Spokojni mieszkańcy tych dolin od wieków wielu byli ze sobą związani wszelkiego rodzaju stosunkami i związkami, poczynając od ro-

dzinnych, a skończywszy na handlowych i rolnych, a tu jak gdyby na złość trafiało się bardzo często, że po parę miesięcy musieli spoglądać na siebie z nad urwistych brzegów rzeczułki, bez możności dostania się na drugą stronę. Żaden most nie przetrwał tutaj dłużej roku, i albo go zniosła powódź wiosenna, albo rozbiła lawina górska w jakiejkolwiek z pór roku.

Ostatnią próbę zrobiono na początku XIV wieku; mieszkańcy zdobyli się na dużą ofiarę pieniężną, sprowadzono z bardzo daleka architekta wielce uczonego, ten wywiązał się jak mógł i umiał najlepiej, bo w istocie postawił most piękny, a jak się zdawało trwały tym razem, i bezpieczny zupełnie. Mieszkańcy byli uszczęśliwieni, a chwała spadła nietylko na tego inżyniera sławnego, ale i na wójta z Geschönem, który takiego człowieka umiał wyszukać na świecie.

Wszystko tedy szło jak najpomyślniej, kiedy pewnego wiosennego poranku obudzony został poczciwy wójt wielką wrzawą, a niebawem przyszła deputacya wioski oznajmić swojemu zwierzchnikowi, że nowe arcydzieło szatan zabrał jak swoje.

Wójt deputacyę wyprosił za drzwi z wielkiego gniewu, a zostawszy sam w pokoju wykrzyknął:

— Szatan zabrał, to pewna, ale też chyba on jeden wybawić nas może z kłopotu!..

Zaledwie dokończył tych słów, melduje mu służący, że jest ktoś, co prosi o posłuchanie. Wójt kazał wpuścić przybyłego, a że był człowiekiem mądrym i doświadczonym, więc zaledwie rzucił okiem na tego gościa, odrazu domyślił się kogo ma przed sobą. Jakoż bardzo naiwnym być należało, żeby w tym panu w opiętych trykotach karmazynowych, czarnym aksamitnym do figury kaftanie, i czapeczce z czerwonem wielkiem piórem fantazyjnie nałożonej na głowę, nie przeczuć nieprzyjaciela rodzaju ludzkiego, zwłaszcza, że nogi mimo zwykłego u reszty śmiertelników obuwia, zakończone były jakoś okrągławo, a z tyłu ponad piętą wystawało coś w rodzaju ostrogi. No, co tu długo mówić—szatan to był nie kto inny, i nie czas był na wzdraganie się i ceremonie, zwłaszcza, że pod wpływem uniesienia, sam go wójt wyzwał na ziemię z jego krainy ciemności.

Resztę wątpliwości, gdyby jeszcze miał był jakie wójt poczciwy, rozproszył gość szczególny, przystępując do rzeczy śmiało i bez przygotowań.

— Chciałeś mostu, mój przyjacielu — ja jestem taki właśnie, co stawia mosty—bardzo dobre i trwałe mosty!

Pomimo że wywoływać w chwili potrzeby współdziałania ducha nieczystego, a ujrzeć go przed sobą nie jest to bynajmniej jedno i to samo, nasz wójt nie uczuł jednak zbyt wielkiego niepokoju, a nawet zaczął z należytą przytomnością przygotowywać w myśli umowę z tym szczególnym inżynierem, a że jak to bywa u ludzi, chciał go sobie zjednać odrazu, więc bynajmniej nie zamierzał szczędzić mu tytułów.

— Jakże prędko wasza ks. mość możesz nam postawić most?

— O to bądźcie spokojni — u mnie takie rzeczy robią się na poczekaniu.

— I my też nie zwlekamy z zapłatą, a na dowód, że nie chcemy się targować, pozostawiamy waszej książęcej mości oznaczenie wysokości wynagrodzenia.

— O jakiem ty wynagrodzeniu — o jakiej zapłacie myślisz, mój dobry człowieku?

— O jakiejże? My ludzie płacimy wszystko złotem — innego sposobu wynagradzania za oddawane usługi nie znamy.

— Zabawny sobie jesteś—co mnie po złocie? wszak złoto nie kto inny robi, tylko ja— nie macie i wy w skarbcu waszym ani jednej sztuki takiej, na którąby ktoś inny, nie ja dostarczył materyału.

Wójt uśmiechnął się z niedowierzaniem, a szatan widząc ten uśmiech powiada:

— Skoro wątpisz, weźże z komina którykolwiek z tych żarzących się węgli. Widzisz, dyabła wzywasz, a nie wiesz, kto jest dyabeł—weźże mówię ci.

Wójt ostrożnie ujął ręką za jakiś ułamek palącej się głowni, a skoro chciał spojrzeć, dlaczego nie parzyło go wcale, przekonał się, że w ręku zamiast węgla czerwonego, ma sztukę czerwonego, pięknego złota, połyskującego ku kominkowemu płomieniowi.

Westchnął na myśl, jakby to dobrze było, gdyby jego szatan nauczył tak zyskownego procederu, i z pewnym żalem podał złoto właścicielowi.

— A mnie co po tem — protestował książę otchłani z lekceważeniem — weź to sobie na pamiątkę po mnie, a teraz już wiesz, że się ze mną przy pomocy złota nie porachujesz za koszta tego waszego mostu. Pomyśl o innej zapłacie.

Wójt chowając sztabkę do szuflady, westchnął sobie, bo wiedział dobrze, że z tym jegomością nie wykręcić się jemu sianem, ale że mu nic na razie do głowy nie przychodziło, i że chciał być grzecznym w swoim domu, więc powiada:

— Niech wasza książęca mość raczy powiedzieć czego żąda.

— Ot tak, to dobrze. Wzamian za ten most dacie mi duszę tego, co po nim przejdzie pierwszy.

Wójt potarł czoło, zamyślił się, ale niebawem rozpogodziła mu się twarz, i zabrał się do sporządzenia umowy, którą w dwóch egzemplarzach podpisano i przypieczętowano.

Strony kontraktujące rozeszły się najzupełniej zadowolone z siebie.

Na drugi dzień, skoro świt siedzi sobie szatan na urwisku skały, przypatrując się z zadowoleniem dokonanej robocie, gdy wtem patrzy, a tu od Goeschenen idzie wójt. Obładowany był jakimś ciężarem, a szatan ucieszył się wielce, bo domyślił się, że wójt swoją duszę zaofiarował za ten most, a bądź co bądź dusza wójta, to nie jakaś tam dusza zwyczajnego śmiertelnika. Zchodzi tedy szatan ze skały, aby go powitać najprzyjaźniej, a tamten zdejmuje z pleców worek, odwiązuje go powoli, krzesze ogień i zapala od niego hubkę, a kiedy dzieliła ich od siebie tylko szerokość mostu, wypuszcza wójt z tego worka psa, a pies mający u ogona zatlony lont, pędzi wprost na szatana.

— Oto dyable dusza dla ciebie — wszakci on, nie kto inny przeszedł pierwszy.

Rozgniewało to dyabła nadzwyczajnie; chciał zrazu zniszczyć dzieło swoje, ale że stawiał na moc, więc bez potrzeby poobrywał sobie tylko pazury, i w wielkim gniewie dojrzawszy na prawo od Andermatt wysoki złom skalny, poszedł po niego, aby go ustawić tuż nad stromą ścianą wzgórza, przylegającego do mostu.

— Jak im to tam położę, to niedługo się swoim mostem nacieszą; pierwszy wiosenny roztop osunie grunt, a skała spadnie i zgruchocze wszystko.

Zrobił jak postanowił.

Zanim jednak wszedł na tę górę, zanim od niej oderwał bryłę większą niż kolońska katedra, i zanim się znią przywlókł w dolinę, aby ją znowu wywindować ku górze, upłynęło kilka godzin. Wraca tedy szatan, pot się z niego leje, wtem spojrzy, a most i oba przyczółki pełne narodu, a w środku ksiądz z procesyą, a dzwony huczą i lud prosi Boga, aby odżegnał siły nieczyste, i zachował dzieło szatańskie na swoją chwałę i pożytek ludzki.

Przegrał szatan sprawę. Most przetrwał kilka wieków, a całą zemstę wywarł nieprzyjaciel rodu ludzkiego na tem złocie, zostawionem u wójta, ten ostatni bowiem po powrocie do domu zastał złoto zamienione napowrót w węgiel.

A morał tej bajki taki jest, że i szatan przerachowywa się niekiedy, i że czyhającemu na zgubę ludzką zdarza się czasem upolować tylko psią duszę zamiast duszy człowieczej.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał trzeci roku 1899.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

KRONIKA.

Towarzystwo hygieniczne.

Niedawno zorganizowane Towarzystwo z młodzieńczym prawdziwie zapałem zabiera się do pracy.

Cztery pogadanki o szczepieniu ospy urządzone w różnych dzielnicach miasta, pociągnęły liczne grona słuchaczy. Zachęcone tem powodzeniem Towarzystwo zamierza zorganizować cały szereg odczytów ludowych z dziedziny hygieny. Najbliższa pogadanka opracowana przez dr. Puławskiego nosić będzie podobno tytuł: „O alkoholizmie.“ Dalej nastąpi kilka odczytów pod ogólnym tytułem „Poznaj samego siebie.“ Słuchacze znajdą tu popularnie podane wiadomości z anatomii i fizyologii. Odczyty illustrowane będą obrazami niknącymi. W przerwach spowodowanych przygotowaniami do obrazów, przygrywać będzie orkiestra. Towarzystwo ma podobno niemało trudności z wyszukaniem sal odpowiednich na odczyty. A przecież nie brak u nas dużych lokalów, zwłaszcza w zabudowaniach fabrycznych.

Dla obłąkanych.

Codziennie niemal spotykamy na ulicach miasta indywidua obarczone klątwą choroby umysłowej. Wiemy w jak okrutny, bezmyślny, zwierzęcy sposób obchodzić się z nimi zwykły mniej wykształcone, mniej dojrzałe sfery społeczeństwa. Nieszczęśliwy taki obrzucany bywa gradem szyderstw, popychany, bity i t. d., a gdy zachowanie się jego zaczyna grozić spokojowi publicznemu, odwiezionym zostaje do przytułku policyjnego, gdzie opiekę nad nim roztaczają współtowarzysze lokalów—przestępcy kryminalni.

Na posiedzeniu Towarzystwa hygienicznego dr. Rychliński przedstawił statystyczne dane, z których dowiadujemy się, że cyfra obłąkanych dochodzi u nas mniej więcej stale do 20,000. W szpitalach zaś i specyalnych zakładach leczniczych znajduje się dla chorych takich tylko 1,274 miejsc.

Jakiż więc olbrzymi procent obłąkanych przebywać musi w kołach rodzinnych bez odpowiedniej kuracyi, szerząc dokoła zarazę psychiczną, i stając się często bezwiedną przyczyną klęsk i nieszczęść.

Nawet ci chorzy, którzy dostaną się do zakładów leczniczych, nie podzieleni na kategorye, nie leczeni odpowiednio, mają daleko mniej widoków wyleczenia się, chociażby choroba ich była łatwo uleczalną, niż we wzorowo urządzonych zakładach zagranicznych.

O ile mi wiadomo, przed rokiem pewne grono kobiet starało się usilnie o założenie lecznicy dla chorych nerwowych, to jest właśnie dla tej kategoryi zboczeń, która najmniej bywa uwzględnianą. Usiłowania ich rozbiły się jednak o brak odpowiednich funduszów. Dziwna rzecz, że w kraju, gdzie tak często trafiają się hojne zapisy na cele dobroczynne, nie pomyśli nikt, iż jedną z najbardziej palących potrzeb, jest potrzeba opieki nad obłąkanymi.

Zapisy.

Zmarła w dniu 21 Maja r. b. Marya z Pawłowskich Jankowska, rozporządziła znaczną częścią majątku swego na rzecz instytucyi dobroczynnych i społecznych.

Warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynności zapisała zmarła 30,000 rs.

Instytutowi głuchoniemych i ociemniałych rs. 20,000.

Warszawskiemu szpitalikowi dla dzieci 10,000 rs.

Na zakład paralityków 10,000 rs.

Na szpital oftalmiczny 5,000 rs.

Na kościół rzymsko-katolicki św. Aleksandra w Warszawie 3,000 rs.

Na budowę kościoła św. Floryana na Pradze 10,000 rs.

Na kasę imienia dr. Józefa Mianowskiego rs. 20,000.

Na Akademię Umiejętności w Krakowie 20,000 rs.

Na założenie kasy cyrkułowej pożyczkowej dla rzemieślników i robotników 10,000 rs.

Na ochronę istniejącą przy ulicy Tamka pod wezwaniem św. Kazimierza 15,000 rs.

Na rzecz kolonii letnich 5,000 rs.

Na przytułek dla chorych wychodzących ze szpitali (ul. Dzielna) 5,000.

Na Schronienie nauczycielek w Warszawie rs. 3,000.

Na utworzenie pięciu stypendyów przy instytucie politechnicznym w Warszawie rs. 15,000.

Na dom Schronienia przy ulicy Wilczej (dawniej Przytulisko) 5,000 rs.

Na ulicy.

Wraz z rozpoczęciem robót kanalizacyjnych i wiosennych porządków miejskich, oczom mieszkańców Warszawy ukazuje się oryginalny widok. W godzinach południowych gromady robotników spoczywają na ulicy, składając senne głowy na kamieniach ponad rynsztokami, ponad wykopanymi świeżo kanałami i t. d. Przed skwarem słonecznym lub słotą, przed szkodliwymi wyziewami świeżo poruszonego gruntu miejskiego, nic ludzi tych nie zabezpiecza. Jednem z zadań nasuwających się Towarzystwu hygienicznemu, jest obmyślenie przytułków południowych dla robotników pracujących na ulicy. Nie byłoby rzeczą zbyt trudną dla właścicieli domów, oddawanie jakiejś niewielkiej izdebki, choćby sutereny na przytułek, w którym uznojony pracownik mógłby spokojnie złożyć swoje narzędzia, zażyć snu i odpoczynku.

Muzeum etnograficzne.

Nie popierane przez społeczeństwo, marniejące w za ciasnym lokalu, wegetuje mizernie nasze muzeum etnograficzne. W stolicach zagranicznych, a choćby we Lwowie, instytucye podobne mają na usługi swe wspaniałe gmachy i poważne zasiłki materyalne. U nas nie można marzyć o urządzeniu muzeum na tak wysoką skalę. W każdym razie jednak dałoby się przy odpowiedniem skierowaniu ofiarności publicznej, podeprzeć pożyteczną z wielu względów instytucyę. W przekonaniu, że nie wszyscy poinformowani są o szczegółach dotyczących Muzeum, przypominamy, iż składka roczna członka Muzeum wynosi 10 rs.

Rauty i wieczory.

Kasę pożyczkową nauczycielek i bon zasilił ostatni wpływ z rautu urządzonego w ratuszu p. n. „Kawa czarna.“ Dochód dosięgnął cyfry, jak na nasze warunki dosyć wysokiej, 2,608 rs., z których po potrąceniu kosztów, otrzymała kasa tej instytucyi netto 2,361 rs. 45 kop.

Pierwszy wieczór zorganizowany na rzecz kasy pomocy literatów i dziennikarzy, zgromadził w sali resursy kupieckiej około 350 osób. Przemawiali kolejno pp: Adam Pług, Mieczysław Frenkiel, który odczytał utwór B. Prusa, Maryan Gawalewicz, ks. Z. Chełmicki, Wacław Sieroszewski, Edward Lubowski. Zakończyła nowela Henryka Sienkiewicza, odczytana przez autora.

Zdrowie publiczne.

Przeciw tyfusowi wysypkowemu, który od początku wiosny tegorocznej szerzy się między ludnością uboższą w dzielnicach robotniczych Warszawy, zmuszonemi się ujrzały sfery sanitarne przedsiębrać cały szereg środków zapobiegających. Szpital zapasowy oddany został do wyłącznego użytku chorych na tyfus i ospę, a przy szpitalu na Woli wzniesiono w ogrodzie dwa baraki tymczasowe, każdy na 24 łóżka. Zwiększono liczbę lekarzy dyżurujących i podwyższono pensye obsługi szpitalnej w stosunku 15 procentów.

Wskazówki i rady.

Raki à la bordelaise (na żądanie).

Raki czarne są lepsze od zielonych. Po oczyszczeniu, bez wyjmowania kiszeczki, której się nigdy nie wyjmuje, opłókać w obfitej wodzie i nasolić na godzinę. W rondel włożyć kawałek skórki od słoniny, na kopę raków 10 cebul obranych i odparzonych czyli blanżerowanych, jeden ząbek czosnku, trochę tymianu, liści bobkowych, pietruszki, dobrą szczyptę korzeni angielskiego ziela muszkatołowej gałki, pieprzu, jedno ziarnko kajenny, pieprzu czerwonego—włożyć raki i nalać pół butelką białego francuzkiego wina. W 10 minut raki są gotowe, nigdy dłużej, a nawet w 8 minut jeżeli nie są bardzo duże. Wyjąć je z sosu, mieć gotową zaprawkę z łyżki mąki roztartej w łyżce masła i rozprowadzonej sosem od raków, do tego łyżkę cibilisu lub dobrego bulionu, cebulę ugotować w tym sosie na miękko, posiekać, przefasować wszystko przez sito, w ostatniej chwili dolać flaszkę małą konserwy z pomidorów lub kilka świeżych, dobrze uduszonych i przetartych, dokładając jeszcze białego tłuczonego pieprzu, bo cała przyprawa do takich raków powinna być bardzo ostra. Gdy sos gotów, włożyć napowrót raki dla rozgrzania, nie gotując już, tylko postawić na 5 minut na gorącej blasze. Ułożyć raki w kształcie góry na półmisku, kładąc w środek na wierzch pęczek zielonej pietruszki.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Lekarz-Dentysta A. Zawadzki
Jerozolimska Nr. 49. (róg Marszałkowskiej), 13.

Dr. Władysław Maleszewski
Asystent kliniki chorób wewnętrznych Uniwersytetu Jagielońskiego, ordynuje **w Karlsbadzie**, Hotel „Goldener Schwan.“ 63

DENTYSTA CHWAT Specyalność: Plombowanie i leczenie zębów. Sztuczne zęby. Królewska Nr. 29. 28

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

JAN GRUCZYŃSKI i S^KA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

polecają na sezon bieżący w wielkim wyborze:

Wełny na suknie i kostyumy.

Fulary francuskie i krajowe.

Kretony, Batysty, Piki, Satynki,

Zefiry i muśliny angielskie. 860

Próby na żądanie wysyła się franco.

Fabryka Parasoli i Tokarstwa

H. KIEFFER i S-ka 33

w Warszawie, Bielańska Nr. 4, drugi dom od Senatorskiej

Poleca wybór parasolek i parasoli. Wykonywa obstalunki, pokrycia i reperacye.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

b. krojczyni firmy ***B. Herse.***

JADWIGI ESMAN, 64

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE, HOTEL SASKI 116, 1-e piętro.

Pracując przez lat kilka w pierwszorzędnych magazynach **w Paryżu** jak: **Rouff, Felix i Doucet**, następnie zarządzając czas dłuższy pracownią W-go Hersego, obecnie przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres konfekcyi damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych materyałów. Obstalunki na prowincye wykonywa się podług przysłanej miary.

SKŁAD MEBLI

Majstrów Stolarskich

A. KLIPPEL i S-ka

ulica Erywańska № 9. 987—25—18

!! Dla tego tanio, bo na 1-em piętrze !!

Dywany, materyały meblowe, firanki, serwety, kapy, kołdry, chodniki, ceraty i t. p.

w składzie **H. Radeckiego**

Marszałkowska ***Nr. 112***, 1-sze piętro pomiędzy Chmielną i Złotą.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 65

BIURO NAUCZYCIELSKIE!

BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ

Nowotworzone pierwszorzędne kaucyonowane. ***Rekomenduje*** nauczycieli, nauczycielki bony różnych narodowości. **44 Ś.-Krzyzka 44.** 963—25—19

Proszę zwrócić uwagę na markę ochronną.

PAROWA FABRYKA

Kawy Palonej



pod firmą

IMPORT KAWY

L. B. Jankiewicz,

Warszawa, Leszno 68. Telefon.

POLECA

KAWY PALONE,

!! Codzennie świeże !!

a szczególnie:

Gospodarską	№ **2**	za funt	rb. 0.65
„	№ **1**	„ „	rb. 0.75
Mięszanki:			
Karlsbadzką		„ „	rb. 0.85
Wiesbadeńską		„ „	rb. 1.00
Wiedeńską		„ „	rb. 1.10
Wyłącznie na czarne kawy:			
Deserową	№ **2** . . .	za funt	rb. 1.15
„	№ **1** . . .	„ „	rb. 1.20

W oryginalnych opakowaniach od 1/1 — 1/2 — 1/4—1/8 funta opatrzonych banderolą i znakiem ochronnym.

Sprzedaż detaliczna we wszystkich handlach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi, oraz Składach Win zagranicznych **Caves du Grand Hôtel de l'Europe** ulica **Czysta; Grand Caves de Bordeaux, Mazowiecka 20 i J. A. Stegmann, Marszałkowska róg Chmielnej.** 54

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

71 G NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład *Fortepianów*



Pianin *i Organów*

WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-26

Zakład Stolarski

D. SIARKIEWICZA

w Warszawie,

Grzybowska Nr. 62.

Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe, budowlane, urządzenia sklepowe i t. d. Wyrób staranny. **Ceny nizkie.** 19

Broszki, Bransolety, Kolczyki Pierścionki, Spinki, Szpilki

i t. p. poleca 27

Pracownia Jubilerska

J. LIPOWSKI i S-ka

Krak.-Przedm. 71 m. 9, I-sze piętro.

Wyroby własne gustowne. Ceny fabryczne

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS

nieszkodliwy,

dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15. 30 i 50.

Główny Skład Solna № 9.

987—20—20

MAGAZYN MEBLI

ANTONIEGO STRÓMIŁO

Bracka Nr. 25.

Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.

CENY NIZKIE. 1026-52-26

Dozwolone przez urząd lekarski na ogólnych zasadach handlu za Nr. 1496, jako środek nie zawierający szkodliwych domieszek.

PIEGI i PLAMY

usuwa

„DERMINA"

żądać w aptekach, składach aptecznych i perfumeryach. Główna sprzedaż w Warszawie w apt. **H. Huberta Plac Grzybowski 10**

Całe pudełko rb. 1 kop. 20, pół pud. kop. 60 66

K. M. Schröder

Nowy Świat 24.

Skład fortepianów i pianin. Wynajem i sprzedaż na raty.

Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**

944—53—42

Nowa Pracownia!

Po długoletniej praktyce za granicą i w kraju, otworzyłem pracownię okryć i kostyumów damskich (genré tailleur). Specyalność kostyumy sportowe. Niniejszem mam zaszczyt polecić się JW. i W. Paniom.

Z uszanowaniem

Jan Bydliński

58 krawiec damski i męzki.

Nowogrodzka 17.

Dozwolone przez Warszawski Urząd Lekarski na ogólnych zasadach handlu



„WENEZUELA"

wynalazku

SZYMONA KOHENA

w Warszawie.

Usuwa **piegi i plamy skórne**, oraz udelikatnia, gładzi i nadaje białość cerze. **Sprzedaż** w składach Aptecznych i Perfumerjach.

68

Główny skład Dzika № 9.

Słoik 75 kop.

Łyżki, widelce, noże,

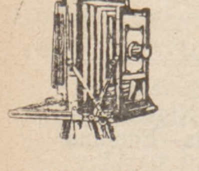
oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem po cenach możliwie nizkich

TEOFIL PYCZ

4, Miodowa 4, w Warszawie.

Skład aparatów i potrzeb do fotografii

P. LEBIEDZIŃSKIEGO



Warszawa. Krak.-Przedmieście № 65, I-sze piętro.

POLECA: Aparaty fotograficzne ręczne najnowszej konstrukcyi od rs. **6** do **200**. Aparaty fotograficzne podróżne. Klisze, papiery fotograficzne, chemikalja i wszelkie potrzeby do fotografii. **Towar tylko wyborowy. Wielki wybór nowości.** Cennik illustrowany gratis i franco. Pozostałe z zeszłorocznego sezonu: Aparaty fotograficzne nowe i używane—wyprzedają się z ustępstwem 30—50%. 50

RESZTKI

materyałów bławatnych podszewki krawieckie madepalam p leca **bardzo tanio**

W. MORGENSTERN

70 ***Graniczna № 9, m. 10.***

APTEKA K. WENDY

45 45. Krakowskie Przedmieście 45.

w Warszawie.

Wszelkie nowe środki lekarskie.

Wina lecznicze,

Wody mineralne.

Дозволено Цензурою Варшава, 13 Мая 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

XV.

Nazajutrz, o świcie, otwierały się kolejno drzwi każdej chaty; gromada, chmurna, milcząca, rojem sypała się ku wielkiemu gościńcowi; ławnicy, wójt i dwóch dozorców, pędzili ją do lasu. Małe chłopcy z grzechotkami zdążali co siły za dorosłymi, zdaleka bowiem w przedrannych tumanach, czerniła się na koniu postać srogiego rządcy.

W parę godzin później, na dziedzińcu pałacowym, ruch wszczął się niezwykły; zajeżdżały bryczki, powozy; stajenni wyprowadzali wierzchowe konie, dojeżdżacze sforowali smycze, wyciągali naprzód, aż wreszcie cała zgraja panów, domowych i służebników, ruszyła ku kniejom.

Poranek był szary, dżdżysty; ciężkie wilgotne powietrze w posępnych całunach wisiało nad polem; na skraju widnokręgu słońce zawalone obłokami krwawiło się siną czerwienią; dzień sam przez się nie dodawał wesela, ale każdy z gości miał go w sobie pod dostatkiem. Nie jeden słońca nie potrzebował, żył z niem w otwartej niezgodzie, przenosząc blask świec jarzących nad światło powszednich promieni.

Gospodarz sam jeden widocznie nie w swojem był usposobieniu. Próżno nadrabiał wolą, witał gości uprzejmie, krzątał się, wydawał rozkazy, z uśmiechem przyjmował żarty; usta otwierały się do wesela, ale zmarszczki nie znikały mu z czoła, niepokój nie ulatywał z wejrzenia.

Po długiej nieobecności, pierwsze chwile na wsi spędzone, obudziły w nim więcej goryczy, niż uciechy z powrotu do miejsc rodzinnych. Może na myśl koniecznego pobytu w samotnej okolicy, zdjął go żal Wiednia, świetnych towarzystw i miejskich rozkoszy; może rzeczywiste troski majątkowego położenia na własnej dopiero ziemi stanęły mu w całej zgrozie przed wyobraźnią; może inne jeszcze, głębsze daleko i dotkliwsze wspomnienia wywołał w nim widok pałacu, ogrodu, rzeki i domku bielejącego w oddali?... Cokolwiekbądź, bliżsi znajomi, zwłaszcza zaś nieodstępny i przyboczny towarzysz, dostrzegli, że Wilczek potrzebował zapomnieć o sobie, że należało pomódz mu w rozgonie natarczywych a nieznośnych korowodów złej myśli.

Juliusz przyzwyczajony do podobnych zmian w przyjacielu, wiedział, jaką poruszyć w nim strunę aby duszę, z rozdźwięku w nastrój wprowadzić; znał na pamięć wszystkie zagięcia, wszystkie słabości wrażennego tego umysłu, postanowił zatem poświęcić się dla dobra ogółu i powrócić gościom Wilczka takiego, jakim go wszyscy znali i kochali. Siadł z nim do kabrioletu, zaciął konia, pomknął jak strzała naprzód; sam rodzaj ten jazdy wywierał na Wilczku uweselające skutki; niegdyś, niejednej troski zbawił go rozhukany koń; niejedną wrzawę w duszy, głuszył w nim szalony warkot kół wypuszczonych na wyścigi z wiatrem. Wilczek w krainie szału czuł się w prawdziwej swojej ojczyźnie; zwyczajne życie było mu zawsze nudną gościną, którą dotąd umiał skracać lub całkiem omijać.

Tym razem jednak, wątek zaradczych środków zdawał się nagle urywać; ani polot dzielnego konia, ani przyjazne słowa towarzysza, niezdołały rozspępić mu oblicza; błędnie przed siebie spoglądał, z założonemi na piersiach ramiony rzucał niesforne odpowiedzi, lub częściej zapadał w głuche milczenie. Dreszcz gorączkowy nim wstrząsał tak, że Juliusz siedzący obok, uczuł kilkakrotne drżenie ramienia i niemógł się wstrzymać od uwagi nad zdrowiem przyjaciela—od zapytania o przepędzonej nocy.

Wilczek zbył go ogólnikiem, snać dla uniknięcia dłuższej rozmowy ku której nieczuł się w tej chwili sposobnym; nie wyznał mu że całą noc przepędził na rozmowie z Lumpmanem, że sprawozdanie rządcy twardy klin zabiło mu w głowę, że tłum innych trosk których sam nie śmiał nazwać przed sobą, do reszty go ku ziemi przygniatał.

Juliusz poprzestał dalszych obrotów, zaciął konia; łowy miały trwać do wieczora; przed powrotem do domu, przyrzekał sobie wynaleźć balsam na tajemne bole drogiego mu serca.

Towarzystwo stanęło u kresu wycieczki.

Obławnicy, naganiacze, skurczeni w pół od rannego chłodu, nieruchomie przytuleni do ziemi, okryci, kto płachtą, kto łachmanem starego kożucha, oczekiwali na hasło.

Głos Lumpmana zerwał wszystkich na nogi. Nadleśny Heryng ostawił knieje i powyznaczał strzelcom stanowiska. Kilku zawołanych między gośćmi myśliwych dobijało się o korzystniejsze miejsca, inni ślepo oddawali się pod rozporządzenia nadleśnego, ostępywali na przeciw obławie krawędzie lasu; Wilczek pozostał na miejscu, Juliusz zaś tuż przy nim obrał stanowisko.

Nastąpiła chwila milczenia; każdy opatrywał strzelbę, rozglądał ścieżki, przesmyki, wyłomy, nadstawiał ucha, badał szmer liści, gdy w tem z przeciwnej strony ostępu puszczono psy w gęstwinę i wraz ozwał się hałas grzechotek i zabrzmiały zgiełkliwe nawoływania obławy.

Chór chłopskich głosów i psich ujadań odbijał się po lesie, spłoszone ptactwo trzepotało między gałęźmi; tu i owdzie rozległo się kilka pojedynczych wystrzałów. Strzelcy utkwili w knieję wzrok niespokojnego oczekiwania, ale nagle, psy zdawały się skręcać w bok ku jarom, a za nimi i głos chłopstwa coraz oddalał się, słabnął, zawracał w przeciwną stronę i zamiast donośnych krzyków przypływał długim, przeciągłym jękiem.

Zagorzały jaki łowiec, kapitan Skałka naprzykład, byłby w pień przeklął nieszczęsny wybór stanowiska, Wilczek atoli, słysząc oddalającą się obławę, opuścił spokojnie kurki i wsparty na strzelbie, poglądał w las wzrokiem strzelca wcale krwi nie chciwego.

Juliusz wzruszył ramionami na znak, że próżno było spodziewać się łupu; zarzucił broń na plecy i gwiżdżąc przez zęby wiedeńskiego walca, kroczył ku przyjacielowi.

Wilczek stał blady i chmurny; poranna mgła przejmowała go do kości, głowa snać płonęła mu, zdjął był bowiem czapkę, ręce przecież zacierał i podzwaniał lekko zębami.

— Chłodno za katy — rzekł Juliusz z niechcenia — i do tego jak na złość psy obróciły w przeciwną nam stronę; jeżeli dalej tak pójdzie, z próżnemi rękami wrócim do domu.

— Drudzy od nas szczęśliwsi — odparł Wilczek — czy słyszysz wystrzały?... Tem lepiej! zwierzyna w zmowie z gospodarzem—idzie na gości.

— Zapewne — byle tylko nie wpadła na pudlarzów, inaczej, obrót ten słuszniej należy przypisać instynktowi własnego bezpieczeństwa niż gościnności. Przeklęte sarny'... zwąchały nasze dwie dubeltówki; lis musiał je ostrzedz.

— Na mnie — rzekł Wilczek, śmiało dziś mogą wychodzić; nie mam ani oka ani ręki; wiatr jakiś wieje mi po piersiach, krew ścina w żyłach.

Juliusz dobył w milczeniu z torby sporą oplataną flaszkę, nadpił trochę i podał przyjacielowi. Wilczek uchwycił ją z gorączkowym pośpiechem, przytknął do ust, przechylił głowę i długo pełnem gardłem ciągnął w siebie ognisty napój.

Towarzysz odebrawszy kordyał napowrót, potrząsł naczyniem; żaden bełkot nie odpowiedział na nieme to zapytanie; z pełnej flaszki wódki gdańskiej pierwszego numeru, nie zostało ani kropli.

Juliusz podniósł brwi, wywrócił spodnią wargę w znak zadziwienia, spojrzał ukradkiem na przyjaciela. Wilczek wstrząsnął się, jak gdyby dotknięty rozpalonem żelazem; krasny rumieniec powlókł mu jagody; czoło zachodziło czerwienią, oczy zapłonęły żarem piekielnej jakiejś uciechy.

— Znakomity z ciebie lekarz, mój Juliuszu — rzekł, prostując wysmukłą swą postać — w jednej chwili odjąłeś mi niemoc; broń tylko Boże recydywy; w aptece bowiem jak widzę, nie ma już ani kropli lekarstwa. Teraz śmiało możemy czekać nietylko na sarny, ale na wiewiórki. Załóż się o pięćdziesiąt obrączkowych, że pierwszej którą spostrzeżem, w sam łeb kulę wpakuję.

— Zakładać się z tobą?... za kogo mnie bierzesz? Zostawiłem kilkaset dukatów; jeżeli ci o nie chodzi, palnij mi między oczy z obu luf i nie dalej jak o dwa kroki. Wszystko odrazu zagrabisz. Nie widzę, w czem ci trudniej byłoby wyświdrować kulę mnie niż wiewiórce.

Wilczek uśmiechnął się; pochlebstwo trafiło mu do serca.

— Możesz być spokojnym — rzekł o twoje dukaty. Choćbym najtrafniej strzelał, nie wygram złamanego szeląga, chyba założysz się, że do wieczora wróbel nawet nie wpadnie nam na strzał. U siebie nie mam szczęścia; wiadoma rzecz!

— Rozstrzygniemy to za powrotem przed trybunałem króla Faraona. Założymy mały banczek, niechaj się młodzież pali. Tylko na miłość boską, mój Władziu, otrząśnij się trochę z tych kwasów, które wcale nie przypadają ci do twarzy. Cóż ci dolega?... Wracasz do kraju, przyjmują cię jak marnotrawnego syna; przyjeżdżasz do siebie na wieś, znajdujesz wszystko w doskonałym porządku, jak gdybyś wczoraj był dom opuścił. Chyba, że dawne dziwactwa plączą się jeszcze po głowie i żal ci, że w domku nad rzeką nie zastałeś nikogo.

Wilczek uderzył gwałtownie kolbą o ziemię, poskoczył krok naprzód; usta drżały mu od gniewu.

— Nie zmrużyłem oka; nie kładłem się wcale.

— A to dla czego — przed polowaniem, umyślnie chciałeś się zmęczyć?... Zasłabłeś może i szlachetnym zwyczajem nie raczyłeś mnie przebudzić?

— Bynajmniej. Kazałem zawołać Lumpmana; zagadałem się z nim aż do świtu.

— Rozumiem, zgaduję!... Czemużeś odrazu mi nie powiedział? Noc przepędzona na gospodarskiej gawędzie! przyznaję — jest czem znękać Herkulesa. Gdyby przynajmniej, na pociechę, był ci wyśpiewał co, gdzie, kiedy i ile ukradł?

— Nie słuchałem go poszczególnych rachunków; pokazywał mi główne hypoteczne wykazy i szereg rocznych wydatków na same procenta. Lumpman nie mógł wiele ukraść; może nic nawet nie ukradł.

— Zapewne! ze swego dołożył — nieprawdaż? Ha, któż ostoi się przeciw ludzkim językom?... Wieść głosi, że uczciwy człowiek mający w kieszeni sto złotych, niepowinien spać w jednym pokoju z Lumpmanem. Niepierwszy to raz, cnota, niewinność, padają ofiarą zdradliwych potwarzy. Lumpman, od ciebie, prosto pojedzie do Rzymu, na świętego. Zamawiam sobie pięć palców prawej jego ręki na relikwie—na ochronę od złodziejów.

— Lumpman jest człowiek zręczny i pilny. Niejestem spowiednikiem i nieznam tajemnic jego sumienia, — dość jednak obejrzeć się po dziedzińcu, po wiosce, po gospodarstwie, aby uznać że niepopróżnował podczas mojej nieobecności. Uważałeś jak wszędy biało, czysto, porządnie?

Juljusz znowu zanucił ulubionego walca

— Niewierzysz?... Dla przekonania cię niemam pod ręką dowodów; powtarzam wreszcie, że mowa toczyła się nie o szczegółach zarządu, ale o rzeczach bynajmniej niezależących od rządcy. Już odtąd, podobno ani Lumpman, ani żaden najzręczniejszy złodziej nic u mnie nie ukradnie.

— Co słyszę — wynalazłeś bez mojej wiedzy nowy rodzaj pułapek na złodziejów?

— Nieochybną pułapkę — masz słuszność, — używaną oddawna przez tych wszystkich którzy, według przysłowia, nieboją się rozboju.

— Ha ha — wyborny żart!... Zapominasz mój Władziu że gdzie oko właściciela przez szkło nic niedojrzy, tam nocy zdobywca potrafi jeszcze łup wyśledzić. Golizna, jak wszystko na świecie, jest względną. Resztki pańskiego majątku więcej warte od niejednej szlacheckiej fortuny. Kto panem się urodził, ten na szczątkach spuścizny lepiej żyje niż najtłuściejszy zagonowiec na dorobkowych wioskach. Wreszcie, niespodziewam się aby wyraz: szczątki, resztki, ostatki — stosował się do twoich interesów.

Wilczek stał zadumany.

— Niemylą cię twoje przeczucia — rzekł po chwili; o statkach tam mówić można, gdzie są jeszcze ostatki. Słuchaj Juljuszu — niemam przyczyny taić przed tobą prawdy; jestem zniszczony — zniszczony powiadam ci, w całem piekle tego wyrazu.

— Niepodobna!

— Komedji, Bóg widzi, grać przed tobą niemyślę; oszczędź mi długich wywodów, cyfer, szczegółów. Sam Lumpman niedomyśla się stanowczości zagrażającego mi ciosu; wie on zaledwie połowę. Cóż u ciężkiego licha — umiem przecie rachować tak dobrze jak ty, jak każdy znający cztery działania. Położenie moje jasne jak na dłoni; majątek poszedł z dymem! nic mi nie pozostaje — nic, chyba...

Wilczek przytknął do ust lufę swojej dwururki; zmrużył oczy, jak gdyby w istocie oczekiwał śmiertelnego wystrzału.

Juliusz ujął go za obie ręce, buchnął hałaśliwym śmiechem.

— Tym razem — mówił, ściskając mu dłonie — zakładam się o życie, że chybisz. Kula próżne tylko czerepy rozbija, pełnej głowy się nie ima. Półgłówki jeno w łeb sobie palą, i słusznie czynią; przepołowionej gałki nie ma czego żałować. Na honor! świat słusznie zwie cię zepsutem dzieckiem. Lada bobo w paluszek, lada kuku w nóżkę, wnet z kwitkiem odprawiasz zwykłą dzielność, słaniasz się, opuszczasz ramiona, jak gdybyś rzeczywiście nie jedną, ale dziesięć kul miał w mózgu. Wierzaj mi Władziu, każ sobie krwi nieco upuścić, weź kilka zimnych kąpieli — masz gorączkę.

— Niewczesne żarty Juliuszu; żaden z nich nie wyciągnie mnie z przepaści. Myślałem, że można z tobą poważnie się rozmówić. Cóż chcesz, abym począł?.. Wracajmy lepiej, każdy na swoje stanowisko.

— Jak nie żartować, jak nie śmiać się do rozpuku?... Nie sypiasz po nocach, poważasz się występować przede mną blady, z zaczerwienienionemi oczyma; sam kujesz sobie urojone jakieś zgryzoty, wtedy właśnie, gdy należy zebrać zupełną przytomność umysłu, gdy sława całej okolicy na tobie polega, gdy nam trzeba zwyciężyć lub zginąć.

— Nie rozumiem cię—nie mam dziś głowy do zagadek.

— Chory jesteś — nie ma wątpienia. Za powrotem pozwolisz mi posłać po lekarza, albo sam poradzisz się Skałki. Kapitan mówił mi kiedyś, że w pułku ściśle żył z felczerem; musi mieć pewne doktorskie wiadomości. Jakto — mamże ci tłumaczyć rzeczy, które szkolnym nawet dzieciom odbierają dziś sen i apetyt?... Węgierskie huzary arcyksięcia Karola przymaszerowały do Lwowa. Giulaj i Ujhazy przechwalają się na całe gardło, że na zaprzężnych koniach prześcigną galicyjską szlachtę. Każdy z nich ciągnie za sobą angielskie szkapy krwi czystej jak brylant, i dżokejów chudych jak bretnale. Rozumiesz, że junactwa te ciebie mają na celu, ciebie, pogromcę Węgrów, Niemców, ba nawet Angielczyków. Nasi drwią z huzarskich przechwałek, wiedzą, że jeszcze ziemia ich nie zginęła, póki ty żyjesz.

— Bądź zdrów — kłaniam się uniżenie! Wracam do Lwowa i tam rozpowiem, że ty zamiast gotować się do walki, występkujesz treny i łzami się zalewasz.

— Co mówisz Juliuszu?... Giulaj prowadzi angielskie konie; skąd wiesz?... Folbluty czy huntery?.. — czy widziałeś którego?

— Widziałem siwą klacz na stalowych nogach, z szyją jak u łabędzia; trudna z nią będzie sprawa; wygrała już kilkanaście zakładów, dwa podobno w Derby, ostatni w Newmarket.

— Piekło! przekleństwo!... oszaleję z rozpaczy!... Kromwell sprzedany, bez tego, między nami mówiąc, szwankował trochę na tylnie nogi. Rozwadowski, sławny znawca, kupił go z zamkniętemi oczyma; niechaj się pomknie— uwięźnie na pierwszym płocie. Ujhazy ożeniony z Angielką, dostaje konie z pierwszej ręki. Stało się!... wracajmy — na miłość boską, rozejdźmy się na nasze stanowiska. Nie ma o czem mówić, wszystko stracone!

— Nic nie ma straconego, niegodziwy Jeremiaszu. Wracajmy — zgoda!... tylko nie na stanowisko, ale do rozumu. Giulaj i Ujhazy woziwodom konie darują. Górą Galicya i Lodomerya! Naprzód, mości hrabio w tobie nadzieja!

— Oszalałeś!... piechotą wyjdę na pole?

— Jak chcesz, byleś na polu konia wziął między nogi. Pamiętasz w Wiedniu, u lorda Albermarle, gniadego ogiera Lightninga?

— Ze strzałką na czole?... widzę go dotąd przed sobą.

— Co o nim sądzisz?

— O lordzie?

— Ze strzałką na czole?... o ogierze, do stu szatanów!

— Kanclerz — Książę — Cesarz wszystkich koni! Nieboszczyk Goldofin nie wart mu owsa zwozić do stajni.

— Cieszy mnie, że nie straciłeś dotąd pamięci. Lightning najdalej za cztery tygodnie musi zarżeć przy naszym żłobie.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).